ROZMAITOŚCI.

Dnia 27. Września. Ner 39. Roku 1854.

MACZEK

czyli

co to sobie lasy opowiadają.

(Ob. Nr. 4. 14. 15. Rozmaitości.)

Myli się kto sądzi, że u kwiatów nic innego tylko rozwijać się, kwitnąć, wonieć i więdnieć; i chociaż to tak powszechnie utrzymują, przecież tak nie jest. Samolubstwo nasze radeby sercu wmówić że wszystka natura jest tylko dla nas, a my iż z powierzchowności umiemy o kwiatach sądzić, myślemy ztąd że u nich życia wewnętrznego niema. Płoche zarozumienie! owszem jak każdy kwiatek ma właściwą cechę, jeden jest skromny, drugi dumny i próżny, ten wesół i okazały, ów posępny i potulny, wreszcie jak każdy jest takim jakim jest kolor jego i zwykły obyczaj, równie też w każdym tchną inne życzenia, dążności, wesela, smutki, miłostki; a wszystkich dziwny przewnętrza patryotyzm, to jest przywiązanie nietylko do kraju ale i do téj grudeczki ziemi gdzie się rodziły, gdzie wychowały, tak że gdzie indziéj, prawie na wstyd ludziom dzisiejszym, ani im żyć ani oddychać nie sposób. Przytém mają jeszcze kwiaty środki poufnego zewzajemniania się, i ktoby ich język rozumiał, temu-by one nie jedną bajeczkę, nie jedną powiastkę wyszepleniły do ucha, a on-by po łączkach kwiecistych przepędzał nie jedną noc, bo to właśnie wtedy kwiatuszki się spowiadają, i obrazki z ich rozmowy schwytane wydały-by mu się pewnie jak piękny sen poezyjny.

Mnie samemu który to mówię, przypadło raz nocować w polu pod lasem; noc była śliczna, księżyc świecił, łączka pachła, las zasypiał cicho, człowiek w myślach się gubił, słuchał czy drzymał, sam nie wiem — w tém słyszę naraz tysiące głosików jak z kwiatów wychodzą. Nie pomnę czylim kiedy Polance któréj wyświadczył jaką przysługę, ale zawsze jéj wdzięczen jestem że mi pod ową porę słuch otworzyła, gdyż osobliwszych nasłuchałem się rzeczy. Słyszałem zdala jak Sitowina melancholicznie wyszeptywała sąsiadowi jakąś długą liryczną poezyę, a sąsiad słuchał z uwagą. W chwilach ustępu papłała coś Kakuba, co-to między kwiatami z językiem chodzi i zastępuje literaturę gorszącą. Niedaleko ztamtąd chi-

chotały się majowe Kaczuszki, pewnie coś zabawnego sobie opowiadały. Dzwonki milczały wprawdzie, ale przechwiewając się na lewo i na prawo ciągle potakiwały co sąsiedzi prawili, a przeciwnie, Drzączka mała z całą drużyną potrząsając nieustannie główką widocznie nie dowierzała temu co ją zalatywało. A toczyła się rozmowa o ludziach; nie wiem czy-to bywa u kwiatów ulubiona pogadanka, czy-to że mnie postrzegli w podsłuchach i za ciekawość ukarać chcieli, dosyć że téj nocy szła cała rozmowa o nieczułościach i krzywdach jakie ludzie wyrządzają kwiatom.

O biada! wołały żałośnie gronem Tymianki; znowu niezgrabne stopsko człowieka potratowało nam najmilsze siostrzyczki.

O niegodziwce! zupełnie nas zapoznają dodał smolasty Goździk polny, który jak wiadomo, ażeby się dać poznać, pnie się po cieniuchnym badylku do góry; nie zważają na nas choć się im czule przymilamy i do nich lgniemy. Woleli-by nas raczéj jak Lulek niszczyć jeźli im szkodzimy, ale pogardę znosić to boleśnie; czy my już i tyle nie godni ażeby trochę stopy powściągnąć i nas nie deptać?

Ależ opamiętajmy się, chuchnęła dobrodusznie Niezwódka, z tego co wy mówicie, sądzićby że ludzie istotnie tak bardzo niesprawiedliwi! a przecież jabym was przekonała przeciwnie. Albożto oni nas, Niezwódkę nie biorą do stroju przy największych uroczystościach, czy nie powołują nas w poselstwo najświętszym swoim uczuciom miłości?

Byłoć-to było, ale już te czasy dawno minęły, skrzywił się Szczaw na to. Ludzie dzisiejsi! miły Boże! powzdymało-to się w pychę, i myślą że lepiéj zrobią niż Pan Bóg; lepią kwiaty z gałganów, malują, kędziorzą, nam na przedrzyzki. I proszę popatrzyć w co to się stroi? w swoje wytłoczki i wiechy, a nas przywołują w poselstwo uczuciom swoim dopiéro wtedy kiedy im na wszystkiém zbędzie; żartują jeszcze z nas, dodają że mowa kwiatami to dziecinna igraszka sentymentalna która już dawno nie w modzie.

Mniejby-to jeszcze mnie obchodziło, rzekła Lilia, bo jak ludziom cenić uczucia, kiedy uczucia sami nie mają? ale radabym niechby szczerości nie odmawiali nam, kiedy z prawdą występujemy. Wspomnijcie tylko! gdy się ze snu poprzebudzamy i ze dniem spojźrzemy po sobie, postrzegamy jak nie jedna z naszych towarzyszek zagasła w nocy; już pod wieczór zwieszały główkę, a srogi wiatr nocny całkiem je obrał z listków. My bolejemy nad niemi, i łzy nam perlą się w oczach. Ludzie patrzą na to i ani im w myśli pojmować co one znaczą, nie chcą wierzyć by te krople były wyrazem naszéj boleści, i mówią że to jest rosa którę mgła ranna na nas wytrzęsa.

Musiał ten dowód obojętności ludzkiéj i krzywdy mocno rozżalić kwiaty, bo chwile mijały a żaden się ani odzywał ani nic nie przydawał. Ale niedaleko odemnie na drugiéj stronie stało skupione gronko innych kwiatuszków około wysmukłego, jasnego Maczka. Już-to i

wprzódy uważałem, że nie podzielały owéj rozmowy i czemś inném zajęte były. Otóż gdy owa przerwa nastała, zawołały Przyłaszczki wymachując chełkami swemi; cicho, cicho, siostrzyczki, Maczek będzie coś opowiadać!

Maczek będzie opowiadać! cicho, cicho, słuchamy; i wszystko stanęło w przysłuchy, Sitowina także zamknęła lirę.

Maczek spiął się na swojéj lasce, obejźrzał wkoło, i ukłonił kilka razy. Sądziłem że przyjdzie go prosić, albo że się będzie chrypką tłumaczył, a przynajmniéj że podeszle wymówki jakie, ale snadź między kwiatami jeszcze to nie w zwyczaju. bo Maczek od razu zaczął: Chcecie mnie słuchać? więc powiem wam co-to się w świedziach naszego rodu przechowało, i przy jakiém zdarzeniu my Maczki na świat przybyli, bo nie myślcie by wszystkie kwiaty razem ze świata stworzeniem popowstawały. O nie! kwiatek przychodził jeden za drugim na sposób jak to jeszcze i dziś na wiosnę.

A jakżeż-to na wiosnę? przerwała spiesznie Kakuba.

Niech ci to powie Stokrótka, odpowiedział Maczek. ona zawsze przy tém, ale nadal mi nie przerywaj.

Stokrótka się zapłoniła i ucieszyła oraz gdy ją powołano, bo wiedziała że nią kwiaty poniewierały i między niemi uchodziła za prostaczkę, najbardziéj w obecności swoich kuzynek — Szarłątek, co-to lepsze nieco przyjęły wychowanie; otóż gdy jéj przyszło publicznie mówić, wystąpił rumieniec po jéj białych listeczkach, który dziś jeszcze czasami widać, potem podniosła oczko do wysokiego łaskawcy i nie czekając zaczęła opowiadać:

Co my biedne téj zimie winne że nas nie lubi. Bóg raczy wiedzieć, ja wam tego nie powiem, bo też o tém różni różnie sądzą, ale to jedno pewna że nas nie cierpi i póty pokoju nie da, aż nas wszystkich z ziemi pospędza. Szczęście, że jéj panowanie nie wieczne i za nią przychodzi najdroższa przyjaciółka nasza Wiosna; ogląda się i ze smutkiem postrzega że z dziateczek które latu polecała przy pożegnaniu, nikogo niema, więc obłócza sploty swe długą posępną włosiennicą. bo na ziemi ani listka ani kwiatuszka ażeby go w wieniec wpleść mogła. Żal ją zbiéra, i wyciąga cieplutką dłoń, woła i wabi ulubieńców swoich, a kwiatki z obawą i pokryjomu wyściubiają tylko główki bo są poprzestraszane, tak ich ta groźna zima przepłoszyła. Nawet się nieraz pokazało że ta obawa słuszna. gdyż bywały przykłady że zima choć dawno ustąpiła, znowu się potem zakradła ażeby na głowę porazić kwiaty które się popospieszały. Bo niektóre kwiatuszki z duszą tkliwszą wybiegują wcześnie ażeby powitać wiosnę. poczciwy fiołek jeden z pomiędzy nich najpiérwszy; ale gdy się oglądnie, a tu ziemia naga, bratki i siostry spią jeszcze. wtedy i sam się przeraża, chowa czółko znowu pod listki zielone. Ludzie to nazywają skromnością, ale w tém raczéj jest bojaźń z któréj się budzi wielka tęschnota za koleżeństwem, fiołek pragnąłby swe wonie wytchnąć na łono rodzeństwa. Biedny fiołek zaumiera

w tęschnocie! nim inne kwiaty powschodziły, jemu już dawno pora minęła; lecz że go serce wiąże, tedy zagląda do nich czasami pod jesień, zaspakaja tęschnotę swoją, ale cóż, kiedy przez to samo iż zaspokoił, już nie pachnie tyle jak za piérwszém rozkwiciem.

Otóż wiecie teraz jak jest na wiosnę, mówił daléj Maczek, a działo się podobnie i przy stworzeniu, przychodził kwiatek jeden za drugim, i w owéj porze o któréj powiadam, było kwiatków już bardzo wiele, i pięknie było na ziemi, wszędzie panowała radość i zgoda, zwierzęta i ludzie mieszkali razem w jedności i w pokoju, od rana do wieczora wesela były i pląsy. Jedna tylko istota, jedna na całym świecie nie podzielała szczęśliwości i smutna przesuwała się po młodéj ziemi. Była-to Noc.

Może zapytacie dlaczego Noc była smutna? oto bo stała samotna, samiuteńka na tym świecie gdzie wszystko ma towarzysza, a macie wiedziéć że szczęście nie jest szczęściem jeźli go udzielać nie mamy komu; a co jeszcze się przyczyniało do jéj smutku, że wszyscy od niéj stronili. Bo chociaż rozścielała złociste gwiazdki po niebie, ale iż zakrywała piękności ziemskie i ludzkie, to odrażało wszystkich. Wprawdzie nie mówiono jéj tego w oczy, ale po radości i z uciechy z jaką witali wschodzące słońce, łatwo poznać było, że nie bardzo nocy sprzyjają. Rzecz pewna że to ją dręczyło gdyż była dobra i tkliwa, w goryczy zasłaniała sobie oblicze najciemniejszym obłokiem ażeby w cichości wypłakać gorzką zgryzotę.

Nas litościwe kwiaty rozrzewniał ten jéj żal bardzo, i gdy ją wszyscy unikali, my starali się jeźli nie utulić zupełnie boleści, przynajmniéj ją tyle pocieszyć co w naszéj mocy było. Lecz co my biednéj dać mogły, — kolory tylko i wonie nasze; a w kolorach już-to się Noc nigdy bardzo nie kochała, więc chowałyśmy dla niéj nasze najpiękniejsze wonie, niektóre nawet z naszych sióstr we dnie nie woniły ażeby zapachów swoich przyszczędzić dla nocy, i zwyczaj ten przechowały, jak wiecie, do dziś dnia. Ale i te poświęcenia nie zdołały biedaczkę zupełnie pocieszyć, w żałości swojéj rzuca się u stóp Stworzyciela:

Ojcze wszechmogący, mówi, widzisz jak wszystko szczęśliwém coś stworzył, ja jedna tułam się samotna, wzgardzona i bez otuchy! na ziemi niema istoty którejbym strapienia moje wynurzyć mogła. Dzień mnie unika, chociaż z utęschnieniem gonię za nim, odchylają się i wszystkie stworzenia odemnie. Dlatego wszechmocny ojcze ulituj się boleści mojéj i daj mi towarzysza!

A oblicze boże uśmiechło się w miłosierdziu swojém, Pan jéj modlitwy wysłuchał, stworzył Sen i uczynił go towarzyszem nocy. A widać że Bóg sen w uśmiechu stworzył, bo w nim nasyła błogosławieństwo, szczęście, pociechę, dlatego wszyscy sypiać lubią i Sen wszyscy kochają. Noc ujęła go w ramiona swoje i odtąd wcale nowe dla niéj życie powstało; nietylko że już samotną nie była, ale wszystkie serca lgnęły do niéj, odkąd sen, ulubieniec wszelkiego

stworzenia z nią przebywał, wszystko co przedtem za ujściem dnia noc wypłaszała, garnęło się do niéj. Nie długo potem powiły się nowe istotki, dziateczki snu i nocy: malupkie sny, senki, marzemka, okrążało-to z rodzicami całą ziemię, sprzymierzało się z ludźmi którzy wtedy byli jeszcze sercem prawdziwe dzieci.

Zmieniło-to się niestety! Ocknęły się namiętności w ludziach, sposępniała im pogoda umysłu, a w złém towarzystwie snadnie gorszą się dzieci; więc przyszło do tego że i sny niektóre przez obcowanie z ludźmi pogorszeli, zlekkomyślnili się, zdziczeli. Sen postrzegł tę zmianę i chciał już wykląć te dzieci wyrodne, ale drugie rodzeństwo zaczęło bardzo prosić, mówili: zostaw ojcze nam braci, nie są oni tak źli, my przyrzekamy sami za nich poprawiać, jeźli w czém z pustoty uchybią. Ojciec dobry wysłuchał proźb dzieci, więc i złe sny pozostały, ale dziwném zrządzeniem, jak doświadczenie uczy, chwytają się prawie zawsze złych tylko ludzi.

Tymczasem ludzie ciągle gorszeli i gorszeli. Raz pod noc wspaniałą, leżał człowiek na woniach darni, przybył do niego Sen ze senkami aby go ująć, ale grzech wzbronił im przystępu. W duszy człowieka wrzała myśl straszna, myśl bratobójstwa. Na próżno wysączał Sen z czarodziejskiéj swéj laski uśmierzających kropli, na próżno oblatywały go senki z dziwnemi marzemkami, nic nie pomogło, człowiek wybił się zpod ich mocy. Wtedy Sen przywołał swe dzieci i rzekł: Uchodźmy, ten człowiek nie godzien darów naszych! i pouchodzili wszyscy. A gdy już w oddaleniu byli, porwał Sen za kij pielgrzymi, obrażony że mu się sprzyniewierzył, i wpchnął go w ziemię; a sny z igraszki popowieszali na gałce u laski swe lotne, płoche, ledziuchne obrazki które dla człowieka miały przygotowane. Zobaczyła to noc, i ażeby ją rozkorzenić wtchnęła w tę laskę życie. Zazieleniła się zaraz, ale i zachowała w sobie te krople które sen przywołują, obrazeczki zaś na niéj co sny porozwieszały, zamieniły się w cieniutkie, barwiste, lotne listeczki. I tak powstał Maczek.

Powieść skończyła się, a kwiatki ponachylały się do Maczka z podziękowaniem; w tém zabrzasł poranek, rozwidniło się i pokazało jak wiatr pomiatał listkami centofolii po lesie. W polocie zatrzymywały się przy każdym kwiatuszku i poszeptywały im ostatnie pożegnanie. A kwiatkom łzy w oczach stanęły.

SEWILLA I JÉJ MIESZKAŃCE.

Większa część okazalszych domów w Sewilli tak jest zbudowana, że mają zwykle obszerny dziedziniec. Dokoła dziedzińca ciągną się długie podsienia na słupach murowanych, a strop podwórca stanowi gęsty liść posplatanych gałęzi winogradu. Dziedziniec

en jest oraz i salonem, gdzie się domownicy schodzą i zabawiają, i tam się też wszystkie wizyty odbywają. Tam sofy, krzesła, stoły, zwierciadła i malowidła jak w zwyczajnym salonie; pośrodku zaś bije chłodzący wodotrysk. Drzwi kraciaste otwiéraja widok na te podwórca. Według dawnego u Rzymian zwyczaju przepędzaja domownicy całe dnie na dziedzińcu zwanym niegdyś u Rzymian „Atrium," a u teraźniejszych Hiszpanów „Patio," i ztąd téż widać w Sewilli mniéj balkonów niż po innych miastach; żyją tam więcéj w zaciszu domowém niż na zewnątrz. Również i zewnętrzna budowa pałaców zwykle nie bardzo okazała, lecz za to wewnętrzna zawsze ozdobna i często wytwornie urządzona, a obszerne na przestrzał drzwi kraciaste nie ukrywają przed wzrokiem przechodniów widoku pięknego podwórca.

Mieszkańcy Sewilli zachowali potąd wiele z dawnych zwyczajów, a nawet co do urody swojéj odróżniają się od innych Hiszpanów. Niezawodną téż rzeczą, że ludność sewilska chociaż w ciągu kilkunastu stóleci przyjęła barwy rozmaite, przecież mimo-to nie zatarł się u niéj zupełnie pierwotny fenicki charakter. Zwyczaj przesiadywania na podsieniach podwórca przyjęto od Arabów z tą tylko różnicą, że się tam przed wzrokiem przechodniów nie zastawiają bramą. Upodobanie w walce byków jest jeszcze zabytkiem Rzymian którzy kochali się w krwawych igrzyskach i szermierce gladiatorów, a cała różnica w tém tylko, że się już ludzie nie zabijają. Uroda zaś mężczyzn jest bezwątpienia pamiątką szczepów fenickich, uszlachetnionych rasą najeźdźców, jako to: Rzymian, Wandalów, Gotów i Arabów.

Sewillanki ustępują w piękności Katalankom, są pełnéj tuszy, wzrost ich po większéj części drobny, podsadkowaty; chód mają ociężały i mało powabny, oczy pełne żywości, czarne jak gałki lecz jasne jak dzień pogodny i słoneczny. Oczy te jednak podobne więcéj do błyskawic niż promieni łagodnych; przenikają lecz jeżli nie pociągają, pewnie palą. Nosek foremny i ściągły jak na dawnych kamcach, lecz trochę za krótki do całości oblicza. Usta prześliczne i najpiękniejsze może ze wszystkich rysów twarzy, jakby stworzone do pieszczot i rozkoszy, lecz cały wdzięk ich gaśnie, gdy niemi przemówią. A lubią bardzo szczebiotać. Utrzymują téż o Sewillankach, że są zalotne: prawda że się mizdrzą i łowią mężczyzn zakochaném spojrzeniem, lecz i w tém szczéra tylko zalotność, nie płochość. Znałem Anglika; zapatrzył się mocno w czarnobrewą Sewillankę, i szalone prawie robił dla niéj ofiary; a szło mu o zakład z jednym Hiszpanem, i przegrał, bo Hiszpan znał nieużytość i bałamuctwo swoich rodaczek. Opowiadał mi pewien Francuz taką przygodę w Sewilli: Na pięknym placu „del Duque" uderza go raz oko jednéj Sewillanki swoim płomieniem, i w jednéj chwili rozgorzało mu serce. Miała na sobie nieodzowną mantylę hiszpańską, gdyż bez niéj żadna dama nie pokazałaby się pewnie na ulicy, a przeniknąwszy chętki Francuza zakryła się i na pozór uchodzić zaczęła. Szedł za nią Francuz i nieodstępował jak cień jaki, nie spuszczał jéj z oczu w natłoku ciasnéj lecz czysto brukowéj uliczki, gdzie na wystawie zalecały się bogate świecidełka zbytkowe. Sądził, że się przecież tam zatrzyma, jeżli już nie dla kupna, przynajmniéj dla saméj ciekawości kobiécéj. Ale się omylił. Sewillanka mknie ku Puerta del Perdon; Francuz dobréj już myśli, biorąc to za znak blizkiego porozumienia się — i znów się zawiódł. Psotnica wiedzie go daléj i daléj po nierównym bruku zaułków prowadzących na plac targowy. To dobrze, pomyślał Francuz, tam gdzie się dwa zbiegają chodniki, będę się mógł zrównać z piękną nieznajomą, i bez ubliżenia świętéj skromności, towarzyszyć jéj w pewnéj również skromnéj odległości. Nowy zawód, Sewillanka zamiast

iść trotoarem zwróciła się w poprzek ulicy, dążąc ku zabudowaniu trybunału sądowego i biór loteryjnych. Na wielkim otwartym balkonie piérwszego piątra stało kilkaset ludzi, z których każdy spodziewał się wielkiego losu loteryjnego; żadnemu z nich jednak nie biło zapewne mocniéj serce, jak rozkochanemu Francuzowi. Raz go łudziła nadzieja, to znów nim trwoga miotała, gdyż ztamtąd wiodło kilka ciemnych krętych uliczek w osławioną i niebezpieczną stronę miasta; szczęściem obiera poprzeczną krótszą drogę do komory celnéj, zkąd znowu ku brzegom wspaniałego Guadalquivir'u, tam gdzie się wznosi wieża złota a opodal leży ogród, którego kląb środkowy wyłożono jakby salon jaki marmurem i dokoła nasadzono woniejącemi krzewy, a przez zacienione zarośla wiodą aleje i kręte ścieżeczki, w miejsca gdzie liczne wodotryski sieją perłami. „O, niezawodnie czeka mnie tam rozkosz i szczęście!“ zawołał. Pewnym był, że nieznajoma jego nie należała do tych trzech tysięcy cyganek, co w największéj na cały świat fabryce skręcają cygara niedaleko tego ogrodu; inny w tém powód kiedy ona tu idzie! i upojony szczęściem domyślném nie mieniałby się był wówczas za wszystkie skarby Indyi wschodnich, jakie niegdyś w téj złotéj wieży przechowywano. Ale dama nieustając zwróciła na prawo wzdłuż placu targowego, i zdawała się zmierzać do kościoła katedralnego. „To mój anioł stróż!“ pomyślał Francuz rozmarzony. Prowadzisz mnie do nieba; w twojéj bliskości nauczę się modlić i obcować będę z aniołami.“ Starożytny, poważny gmach katedralny z wieżycami gotyckiemi i tak szerokiemi bramami, jakby całe zastępy chrześciańskie miały niemi wchodzić, i to wspaniałe okno gwiaździste nad bramą wydały mu się piérwszy raz może w życiu pięknemi, gdyż jako Francuz mniéj potąd cenił styl gockich budowli. Lecz i tą razą ominął się z oczekiwaniem: niezmordowana Sewillanka przeszła katedrę mimo i pospieszyła ku giełdzie (Lonja), zkąd przechodniemi sieńmi wyszła na inną znów ulicę. Mimo obawy, by ze znajomych który go kupiec nie poznał, i niedomyślił się jego swawoli, i nie żartował potém, przemogła pożądliwość; przesunął ciszkiem i pędził ku staremu pałacowi maurytańskiemu (Alcazar), dokąd zmierzała jego bogdanka. Gdyby mu dozwolono było wybierać z pomiędzy tego tysiąca dziewic dorodnych, dostawianych niegdyś królowi w Sewilli coroczną daniną, byłby niezawodnie niezapragnął innéj nad czarnobrewą Sewillankę, tak się w niéj rozmiłował. Tam gdzie Alcazar, kończy się miasto, tuszył więc z pewnością, że i wędrówka jego już niedaleka. Pomylił się jeszcze. Płocha Sewillanka zwróciła się nagle w stronę pałacu biskupiego, który ogromem budowy swojéj zastanawia; ale niecierpliwość nie zna zastanowienia, pominął go Francuz nie patrząc i w pogoni nieustając przebiegał raz ulice dość puste, to znów natłoczone. Z kolei minął kościoł jezuicki i teraźniejszy uniwersytet; tu mu przychodziło nieraz wdzierać się na gruzy i przeskakiwać rumowiska, nim zdążył za Sewillanką pod granitowe słupy Alamedy i dostał się na jedną z ulic z pięknym i równym trotoarem. W tém dochodzą go wywoływania hiszpańskie za sobą i to wcale nie podchlebne. Zląkł się niemało, jakby widział sztylet zazdrości może jeszcze małżonka damy czarnookiéj, nieśmiało się opatruje, szczęściem to w oknie papuga szczebiocze. Tymczasem zniknęła dama, co go się tak niemiłosiernie nawodziła po całéj prawie Sewilli.

Powracając po téj przygodzie mimo Calle del Candilejo, gdzie Piotr groźny zamordował rywala swego, i gdzie na pamiątkę wypadku tego wzniesiono posąg królowi, wydawał mu się los zamordowanego nie tak smutny, gdyż miłość, tęsknota, gorycz i pomsta raziły mu serce dotkliwiéj nad ciosy żelaza. A czekały go większe jeszcze cierpienia. Wieczorem na zabawach gościnnych toczy się roz-

mowa, ón bierze w niéj udział: Hiszpanki są szczebiotliwe, i często rozprawiają o rzeczach, któreby raczéj przemilczéć należało. Jedna z dam opowiada na głos przyjaciółkom jak nawodziła pewnego cudzoziemca po całém prawie mieście, i nareszcie zręcznie mu się wymknęła. Wielbiciel w obec poznał w damie swą dręczycielkę; że nie skonał, to dlatego że wstyd nie zabija. Inna tém się przechwalała, że w podobny sposób zażartowała z dwóch zalotników, a trzecia dodała złośliwie, co dla mnie wielu cudzoziemców nabawiło się suchot, bo w samo połndnie i w największą spiekę oprowadzałam ich po wszystkich ulicach, póki im tchu stało, i dopiéro wymknęłam się domem przechodnim. I tu dopiéro w śmiechy, szyderstwa i przymówki do łatwowiernych cudzoziemców, którym się marzyły zapewne łatwe zwycięztwa.

Takie-to są bez różnicy wszystkie Sewillanki! — rzekł mój przyjaciel — piękne, srogie i zalotne. Urok w oczach, srogość w duszy, a cnota ich, może w domu, ale na dworze same zaloty i żarty z mężczyzn.

Chcąc się damom sewilskim dobrze przypatrzéć, trzeba ich wieczór siedzić w magazynach towarów i po sklepach, gdyż mają zwyczaj dobierać strojów przy świetle. Widać, że się dobrze znają na tém, co może podnieść wdzięki, zwłaszcza na zabawach wieczornych. We dnie noszą damy czarne tylko suknie i mantyle czyli kapiszony wielkie, osłaniające głowę i plecy. Końce mantyli zawijają na ramiona; w kościele twarz zakrywają, na spacerach zaś przerzucają zasłonę za głowę na plecy. Mantyla musi być zawsze z najpiękniejszéj czarnéj materyi jedwabnéj i obłożona szerokiemi korónkami także czarnemi. Damę lepszego tonu poznać zawsze po tém, jak nosi mantylę; zwykle zawija końce na ramiona lekko i zgrabnie. Przy tém musi trzymać koniecznie coś w ręku, np. książkę do modlenia lub wachlarzyk. W wachlarzu mają broń nie do opisania; kłamią, którzy twierdzą że wachlarz jest od ochłody; chyba że rozumieją ochłodę chęci, uczucia, zalot, pustoty i Bóg wié czego. Książka zaś do modlenia także niekoniecznie bywa od nabożeństwa; zwykle zakładają pomiędzy kartki paluszek dla okazania kartek ozdobnych w piękne malowidła. Wytworne książki do modlenia należą w Sewilli zawsze do dobrego tonu.

Wszakże nie o kobiétach, lecz właściwie chciałem wspomniéć o urodzie mężczyzn, bo więcéj uderza niż postać starożytnych posągów dłuta Fidyasza, o których wszyscy mówią a nikt nie widział. Budowa ich ciała wiotka a jednak silna i dziwnie zgrabna. Spojźrzenie mają wesołe, a na twarzy ich maluje się dobroć serca i nieco próżności. Brwi gęste i czarne nadają regularnym ich rysom znaczenia, a tę powagę oblicza łagodzą wesołe spojźrzenia wielkich ciemnych oczu. Na pochwałę młodych Sewilanów muszę tu przytoczyć, że w ciągu czternastudniowego pobytu mego w Sewilli nie zdarzyło mi się dostrzedz ani rażącéj zarozumiałości, ani widziałem okularów u ludzi młodych lub szkiełka w oku wykrzywiającego rysy twarzy, a w ogóle nie spotkałem się z żadną figurą nudną i nieznośną; owszem widok tych dziarskich, wesołych, młodych ludzi jest prawdziwą przyjemnością. Płaszcz swój noszą z wdziękiem, a andaluski kapelusz o dwóch kutasach bardzo im do twarzy. Kto rzutu płaszcza nie wyuczył się od młodości tak jak Sewilanin, ten nie nabędzie zręczności nigdy.

Teatr jest obrazem właściwości i charakteru narodowego. Z oper trudno jednak sądzić o Hiszpanach, gdyż rodzaj téj muzyki podupadł teraz w całéj i tak już Europie: trąby i kotły zagłuszyły wszystko.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*